

Kultura w czasach zarazy

„Robienie czegoś równocześnie i robienie tego razem to nie jest zupełnie to samo” – pisał Rudolf Arnheim w roku 1935 w tekście pt. *Perspektywy telewizji* (został on opublikowany we włoskim piśmie „Intercine”. Jego autor za zestawienie Hitlera z Chaplinem, jako jeden z pierwszych niemieckich intelektualistów żydowskiego pochodzenia, musiał uciekać przed nazistowską zarazą). Pisarz i teoretyk sztuki dopowiadał, że radio i telewizja powstrzymują obywateli od spotykania się ze sobą. Jak zauważał: „nie trzeba już być w towarzystwie, by świętować czy obchodzić żałobę, by uczyć się, cieszyć, wiwatować czy protestować. To prawda, że nasze sale koncertowe czy teatry także nie wytwarzają dzisiaj większego poczucia wspólnoty. Obcy ludzie siedzą obok siebie, każdy patrzy i słucha samotnie, a obecność innych raczej mu przeszkadza niż pomaga. Ale ilekroć publiczność bierze udział w wydarzeniu – reagując na nie śmiechem, okrzykami, gwizdami czy oklaskami – ilekroć zaciera się granica między czynnym i biernym uczestnictwem, coś zaczyna dziać się z aktorem, mówcą, nauczycielem czy kaznodzieją, a także z publicznością, wyborcami, uczniami czy wiernymi – i tego przeżycia elektrotechnika nigdy nie zastąpi”. Arnheim pisał o namiastce fizycznej obecności i domowej izolacji w kontekście telewizji.

My dziś już nie tylko jesteśmy pustelnikami przywiązani w swych pokojach do odbiorników telewizyjnych i radiowych, ale żyjemy – używając określenia innego słynnego teoretyka mediów Alvina Tofflera – w elektronicznej wiosce. W ramach tzw. trzeciej fali, czyli społeczeństwa postindustrialnego czy cyfrowego pracę przenosimy w coraz większym stopniu do domów. To samo dotyczy sposobów spędzania czasu wolnego. Z fabryk i biur migrujemy do przestrzeni, z których druga fala niegdyś nas „wymiotła”, a więc do miejsc zamieszkania. „Nowe sposoby produkcji na podstawie wysoko rozwiniętej elektroniki umożliwiają właśnie powrót do produkcji we własnym domu przy jednoczesnym nadaniu nowego znaczenia domowi jako najważniejszej instytucji w społeczeństwie”, przekonywał równo czterdzieści lat temu amerykański pisarz i futurolog, mając na uwadze m. in. psychologów, nauczycieli muzyki i języków, artystów, marchandów sztuki współczesnej, prawników, akademików oraz przedstawicieli wielu innych wolnych zawodów.

Niemniej Toffler, w swych nacechowanych niepohamowanym optymizmem wizjach, nie przewidział, jak silnie i szybko proces ten pogłębi, ale i skomplikuje globalna pandemia. Dziś trudno o aż tak wielki entuzjazm względem zjawisk społecznych czy też przekształceń w obrębie

organizacji pracy i komunikacji międzyludzkiej, jakich to jesteśmy świadkami za sprawą COVID-19. Są oczywiście takie – silnie sprzężone z rozwojem technologicznym – sfery czy obszary życia, dla których koronawirus nie tylko nie stanowi „śmiertelnego” zagrożenia, ale je dynamizuje. Jednak w ich przypadku chodzi raczej o zachowania indywidualne, związane m. in. z konsumpcją dóbr materialnych, niż z praktykami o charakterze wspólnotowym. Zaryzykować można stwierdzenie, że najbardziej cierpi na tym kultura. Pandemia spowodowała, iż w jeszcze większym stopniu przenosimy różne obszary swojej działalności do nowych mediów. Oglądamy seriale, filmy, przedstawienia teatralne, opery, przysłuchujemy się debatom na temat sztuki współczesnej, niekiedy nawet uczestniczymy w wernisażach online. Coś, co chciałabym tu określić mianem „kultury indywidualnej” ma się dobrze, także poza światem cyfrowym. W zaciszu domowym czytamy książki i prasę, słuchamy radia czy muzyki z płyt winylowych. Przez COVID-19 w obszarze kultury tracimy jednakowoż wszystko to, co robiliśmy dotychczas razem. Możemy wiele rzeczy robić równolegle, po czym wymieniać się odczuciami czy spostrzeżeniami, ale to nie to samo, co brać udział w publicznym życiu kulturalnym, co przebywać realnie, fizycznie w przestrzeniach instytucji kultury. Nawet jeśli – jak podkreślał Arnheim – patrzyliśmy i słuchaliśmy nieco „samotnie”, to jednak zupełnie czym innym są wydarzenia z udziałem publiczności, która reaguje śmiechem, cichymi lub głośniejszymi komentarzami, zadaje pytania, oklaskuje osoby występujące na scenie. Bardziej realną granicą kultury jest ta wirtualna czy cyfrowa, niż ta pomiędzy czynnymi i biernymi uczestnikami spektakli, pokazów, wernisaży, oprowadzań, debat. W fizycznej przestrzeni – niezależnie czy jest to galeria sztuki, sala koncertowa, plac, podwórze czy park – zawsze coś zaczyna się dziać między artystami lub animatorami a publicznością. I tego doświadczenia czy przeżycia, „elektrotechnika” nigdy nie zastąpi.